

OD ŻUŁAW PO HIMALAIZM. LEKARKA WETERYNARII, KTÓRA ZDOBYŁA MONT BLANC

ARCHIWUM M. PODŁASZ

90



Magdalena Podlasz

to lekarka weterynarii, która udowadnia, że pasja do gór może zrodzić się nawet na nizinach. Rozmawialiśmy z nią o tym, co łączy weterynarię z alpinizmem, dlaczego Mont Blanc był dla niej symboliczną „maturą” i jak poradziła sobie na wysokości tysięcy metrów ze złamanym palcem.

Szczyt Mont Blanc.

Skąd w Pani, lekarce weterynarii z nizin, zrodziła się tak ogromna pasja do gór i wspinaczki wysokogórskiej? Czy był jakiś przełomowy moment, który skierował Panią w tę stronę?

O górach właściwie marzyłam całe swoje życie, siostra mojej mamy była „górolazem”, a ja będąc jeszcze dzieckiem zawsze powtarzałam, patrząc na jej buty, które mi się wówczas niesamowicie podobały, że ja też będę mieć takie buty i też będę chodzić po górach. To było jak z wyborem weterynarii, bo od trzeciego roku życia wiedziałam, że będę „weterynazem”, czyli chyba i góry, i weterynarię mam we krwi (śmiech). Ale fakt, zakochałam się w górach wysokich bez opamiętania. Najpierw było chodzenie po Tatrach Polskich i Słowackich (Rysy, Gerlach), ale przecież to za nisko... (śmiech). A moje serce zdobyła Annapurna, którą mam w planach, ale do tego czasu jeszcze chwila i wiele szczytów pomiędzy.

Spośród wszystkich alpejskich szczytów, dlaczego to właśnie Mont Blanc stał się Pani celem?

Mont Blanc jest najwyższym szczytem Europy, tu wyżej już się nie da. I miał być sprawdzeniem mojego organizmu wydolnościowo, wytrzymałościowo i mentalnie przed wyjazdem do Pakistanu. Oprócz Mont Blanc zdobyłam też w Alpach Piramide Vincent (4215 m n.p.m. oraz Balmenhorn (4167 m n.p.m.).

Rozpoczęła Pani aklimatyzację w masywie Monte Rosa, startując z wysokości 1950 metrów, a następnie nocując na 3535 metrach. Jakie były dla Pani największe wyzwania związane z aklimatyzacją, biorąc pod uwagę, że na co dzień mieszka pani na Żuławach, czyli na terenie depresyjnym?

Jeśli chodzi o aklimatyzację, to nie miałam większych problemów, oprócz lekkiego bólu głowy, w skali Lake Louise AMS od zera do trzech miałam jeden. Objawy bólowe ujawniały się w ciągu pierwszych trzech dni aklimatyzacji, ale byłam w stanie je zniwelować lekami przeciwbólowymi, więc kompletnie mi nie przeszkadzały. Jak Pani wspomniała, mieszkam prawie na terenie depresyjnym, więc uważam, że mój organizm poradził sobie świetnie, co bardzo mnie ucieszyło, bo przygotowywałam się do tej wyprawy prawie pięć miesięcy, a jak wiadomo w procesie aklimatyzacji bardzo często nie ma znaczenia nawet stopień wysportowania, czy siły, bo można biegać maratony, a na wysokości trzech, czterech tysięcy naprawdę cierpieć katusze.



Zejscie od strony schroniska Gouter, droga klasyczna.



Most nad szczeliną podczas drogi na Mont Blanc.



Wyjście z kolejki na stacji Aiguille du Midi 3842 m n.p.m.

Lekarz weterynarii na co dzień



Widok z lodowca na szczyt.



Schronisko Grande Halte
1945 m n.p.m.

Czy fakt, że jest Pani lekarką weterynarii, pomógł Pani w jakimkolwiek sposób w ocenie i radzeniu sobie z objawami choroby wysokościowej?

Oczywiście, że znajomość leków i odczytywanie objawów pomogło mi w stabilizacji samopoczucia. W końcu człowiek też zwierzę (śmiech).

Właściwie na każdej wyprawie w góry mam chyba najlepiej wyposażoną apteczkę, która uratowała już niejednego na szlaku. Ostatnio miałam szkolenie z ratownictwa wysokogórskiego z Robertem Szymczakiem i znajomość leków oraz umiejętność posługiwania się chociażby strzykawką i igłą, jak również przeprowadzenie wywiadu z poszkodowanym i zachowanie tak zwanej „zimnej krwi” ułatwiało wszystko. Sam prowadzący skomentował, że jestem bardzo dobrze przygotowana i mogę niejednego w przyszłości uratować, co było bardzo miłe.



Potężna szczelina na lodowcu
w drodze na Piramide Vincent.

W trakcie aklimatyzacji weszła pani na Piramide Vincent i Balmenhorn. Co było dla Pani cenniejsze w tym etapie: zdobycie szczytów czy samo „zwiedzanie lodowca”?

Zwiedzanie lodowca, czyli poznawanie drogi wiodącej na szczyt jest bardzo ważne i uczy pokory, można zobaczyć ogrom siły i piękno tego miejsca, natomiast zdobycie szczytu to taki bardzo miły dodatek, bo jednak we krwi płynie ta chęć zdobywania. Alpy to kapryśne góry, w ostatni dzień pobytu na Monte Rosa planowałam wejście na Punta Gnifetti (4554 m n.p.m.), do najwyższego budynku w Europie, ale warunki pogodowe na to nie pozwoliły.

Dlatego tak bardzo się cieszę z Mont Blanc, bo pogoda była przepiękna w dniu wejścia, ale już następnego dnia i w kolejnych miała się zepsuć, więc miałam jeden dzień okna pogodowego, by zdobyć ten szczyt.

Na szczyt wybrała Pani drogę 3M, która jest uznawana za trudniejszą i bardziej ryzykowną, niż droga klasyczna. Co skłoniło Panią do podjęcia decyzji o wyborze tej konkretnej trasy?

Tak, 3M jest najtrudniejszą trasą, z elementami technicznymi, czyli jak dla mnie – czytaj najciekawszą, bo co techniczne i trudne, to najbardziej pociągające (śmiech).

Czy czuła Pani strach, a jeśli tak, to jak sobie Pani z nim radziła?

Nie, strachu nie czułam. Nie mam problemu z ekspozycją, czy ostrą granią, nie mam lęku wysokości, nie wpadłam w panikę, raczej mnie wszystko ciekawiło i korzystałam z całej mojej wiedzy dotyczącej zasad poruszania się na lodowcu oraz na grani, więc brak strachu nie oznaczał brawury. Szacunek do tak potężnej siły, jaką są góry, mam wielki.

Na Pani oczach zespół czterech osób spadł z dużej wysokości. Jak to ekstremalne przeżycie, obserwowane w tak bezpośredni sposób, wpłynęło na Pani stan psychiczny w trakcie dalszej wspinaczki?

Upadek tego zespołu nie był miłym widokiem, ten lęk przed tym, czy przeżyją, czuło się na skórze, to były sekundy, ludzie spadający jak bezwładne lalki i pauza... po kilkunastu sekundach ktoś się poruszył, patrzę i mówię: „żyją!!!”, za dosłownie kilka minut śmigłowiec z ratownikami... byłam bezsilna, bo nie miałam takiej możliwości, by zejść i pomóc, jak zawsze, to było w najbardziej trudnym technicznie miejscu, samo moje zejście, by udzielić im pomocy, trwałoby z godzinę, jak nie więcej i obarczone byłoby ogromnym niebezpieczeństwem. Mentalnie byłam przygotowana na dużo różnych sytuacji, może też dlatego, że wiele razy ratowałam sama komuś życie w górach, więc jak widziałam, że już są ratownicy, mogłam odetchnąć, ale fakt – było to mocne przeżycie.

Po dramatycznym incydencie podjęła Pani decyzję o zejściu inną trasą, przez schronisko Gouter.

Czy uważa Pani, że znajomość innej drogi wejściowej na Mont Blanc jest istotna dla bezpieczeństwa?

Zdecydowanie dobrze jest znać wszelkie drogi i ich trudności, chociażby celem odwrotu, poza tym zawsze nowa trasa do obejrzenia jest mile widziana. Dzięki temu wiem, że klasyczna droga na Mont Blanc jest bardzo nudna i mało techniczna.



Szczyt Balmenhorn 4167 m n.p.m.



Szczelina na lodowcu.



W drodze na Mont Blanc.

Tuż przed wyprawą złamała Pani palec u prawej stopy. Czy może Pani opowiedzieć, jak wyglądał proces radzenia sobie z bólem i kontuzją w tak ekstremalnych warunkach?

Niefortunnie złamałam palec u stopy cztery tygodnie przed wyprawą, na szczęście wdrożyłam leczenie wspomagające, rehabilitację, pole magnetyczne i udało się jakoś doprowadzić paluszek do używalności, nie tracąc zbytnio na przygotowaniu do wyjazdu. Tu znowu można powiedzieć, że wiedza weterynaryjna była bardzo przydatna w leczeniu człowieka (śmiech). Aczkolwiek podczas trwania całej wyprawy ból palca był odczuwalny, ale tam na górze człowiek myśli, żeby przetrwać, żeby dojść do celu, żeby zdobyć szczyt, żeby przeżyć, żeby wrócić bezpiecznie, więc ten ból był drugorzędny, ale przyznam, że było trudniej z kontuzją, niż byłoby bez niej. Na szczęście sztywne buty, raki, samozaparcie i dobre przygotowanie poradziły sobie lepiej niż gips (śmiech).

Wielu wspinaczy marzy o zdobyciu najwyższego szczytu Europy. Co dla Pani, jako lekarki weterynarii z nizin, oznaczało stanie na szczycie Mont Blanc? Czy był to symboliczny cel, czy po prostu kolejne wyzwanie do pokonania?

Stając na Mont Blanc byłam z siebie bardzo zadowolona i potwierdziłam moje umiejętności oraz przygotowanie do dalszej przygody z górami wysokimi, bo plany są i już zaczynam przygotowania fizyczne z moim trenerem i kompletowanie sprzętu do Pakistanu na zdoby-



Widok na okazały lodowiec w masywie Monte Rosa.

cie jeszcze niezdobytej, tak zwanej „dziewiczej góry”, o wysokości 5900 metrów. Wyprawa już jest wstępnie zaplanowana, będzie mi towarzyszyć Karim Hayat, osoba dość znana w świecie himalaistów. Karim brał udział między innymi w akcji ratunkowej na Broad Peak w 2013 roku, gdzie wyruszył na pomoc Polakom. Mont Blanc jest dla mnie „maturą” przed najważniejszym egzaminem, jakim będzie zdobycie Annapurny.

Jak udaje się Pani łączyć wymagającą pracę zawodową z tak absorbującym hobby? Czy te dwie dziedziny – medycyna weterynaryjna i alpinizm – mają ze sobą coś wspólnego?

Łączenie pasji z pracą zawodową nigdy nie jest proste i chyba nigdy nie będzie, potrzebna jest dobra logistyka, zwłaszcza, że góry wysokie wymagają aklimatyzacji, a im wyższe, tym dłuższej, co wiąże się z długim czasem przebywania

poza pracą, jak i ogromnymi kosztami finansowymi. Dlatego na wyprawę do Pakistanu na pewno będę szukać sponsorów i mam wielką nadzieję, że może uda się ich znaleźć wśród naszych firm weterynaryjnych, w końcu weterynaria jest bardzo bliska alpinizmowi i himalaizmowi. Zarówno lekarze weterynarii w pracy, jak i himalaiści w górach muszą się umiejętnie zaadaptować i zaaklimatyzować do trudnych warunków, częstych sytuacji stresowych, ponoszą odpowiedzialność za życie, muszą improwizować, bo nie ma gotowych schematów działania w życiu, działają na własną odpowiedzialność, wiele muszą poświęcić, ale są też pozytywne aspekty wspólne – mamy silny związek z naturą, możemy podziwiać jej piękno, co daje nam energię do dalszych działań oraz pozwala utrzymać work-life balance.

Dziękuję za rozmowę.